№ 16. Piątek, dnia 15 Stycznia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE

Tygodnik

WARSZAWA dnia 3 (15) stycznia 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

KOTERYE.

(K. J.) Rzecz dzieje się w jednem z większych miast naszego kraju.—Kilku ludzi miłujących oświatę, pragnących aby ogół jak najwięcej garnął się do niej, aby najkorzystniej zużytkował czas wolny, który mu pozostaje od dziennych zajęć; kilku ludzi niesamolubnych i dobrze myślących podnosi myśl urządzenia czytelni publicznej. Nie szczędzą trudów i zabiegów, zebrali się, pogawędzili, roztrząsnęli pomiędzy sobą różne projekty i plany, nareszcie przyszli do przekonania, że myśl ich jest wykonalna, że fundusz zebrać się może, a projekt wejdzie w życie.

Ułożyli się między sobą, iż każdy z nich pójdzie do swoich znajomych, myśl przedsięwziętą rozwinie, opowie, zachęci jednego i drugiego; że tym sposobem, zbierze się pewna ilość członków — i co zatem idzie czytelnia się urządzi.

Bo i dlaczegóż nie miałaby się urządzić?— towarzystwo—a raczej ta część mieszkańców z pomiędzy której mogą się rekrutować przyszli członkowie czytelni, są to ludzie albo rzeczywiście inteligentni, albo też mający do inteligencyi pretensye. Są to ludzie, którzy interesują się sprawą oświaty, trzymają pisma, czytają książki i radzi mówią o tem, co się dzieje w piśmiennictwie. Wszelkie jest zatem prawdopodobieństwo, że myśl na wstępie wymieniona przyjmie się łatwo, i wykonanie jej żadnych nie napotka trudności. — Ufni w to projektodawcy, rozpoczynają propagandę. Każdy z nich ma swoich znajomych, towarzystwa do których chętnie uczęszcza, w których nieraz wygłaszają tyle zdań pięknych i poważnych. Udają się więc do tych znajomych. Myśl rzucona podoba się ogólnie, potakują jej wszyscy. Ojcowie znajdują, że składka kilkadziesiąt kopiejek wynosząca nie jest uciążliwą, mamy po większej części zachowują się neutralnie, panienki zaś nie tają swego zadowolenia że będą miały coś do czytania i że montonne ich życie, ożywi się cokolwiek.

I zdaje się, że interes jest już skończony.— Ale, chcąc urządzać czytelnię, trzeba przedewszystkiem wiedzieć, jaki będzie do rozporządzenia fundusz, na zakupienie pierwszych książek; — trzeba wiedzieć ilu członków będzie do tego należało,—trzeba wreszcie ułożyć listę, według której kolejno książki mają być do przeczytania rozdawane. — I projektodawcy, uznają za rzecz bardzo słuszną wziąć arkusz papieru i zbierać podpisy.

Tutaj dopiero przychodzą do przekonania, jak grubo mylili się w swoim sądzie; tutaj dopiero napotykają trudności, o jakich nie marzyli. Pani X. naprzykład, nie życzy sobie przyjmować udziału w przedsięwzięciu zbiorowem, do którego należy pani Z., osoba niebywająca w jej domu i niepołączona z nią węzłem przyjaźni lub sympatyi.—Pani W. wymawia się jak może, spędza na to lub owo, w gruncie jednak, chociaż tego nie wyjawia, obraziła się iż ową listę podano pierwej do podpisu pani Q. Według rozumowania pani W. był to wysoki nietakt, ponieważ mąż jej zajmuje posadę o dwa stopnie wyższą od męża pani Q., a te dostojeństwa grają przecież rolę wcale nie tak podrzędną, jakby się mogło napozór wydawać.

Ktoś inny odmawia udziału, poprostu dla tego, że nie czuje się przychylnie uposobionym dla projektodawcy. Inny, udział przyjmuje wprawdzie, ale zastrzega sobie bezwarunkowe usunięcie pewnej niemiłej dla niego osobistości.

Inni nareszcie zastrzegają sobie, aby wybór dzieł do nich wyłącznie należał i że nie myślą wcale czytywać tego, co tam „jakiś ktoś" wybrał i do czytania przeznaczył. Ze strony projektodawców następuje cały szereg perswazyi, przekonywań, i dowodzeń, iż należenie do podobnej spółki, nie obowiązuje zupełnie do stosunków bliższej znajomości—iż ludzie inteligencyi powinni być wyższymi nad takie prywatne małostki, gdy idzie o dobro ogółu i tak dalej. Interpelowani w ten sposób panowie i panie słuchają tych przełożeń z wielką uwagą, w rezultacie jeknak od zdań swoich nieodstępują, i każde z nich stawia jakieś „ultimatum" jakiś warunek sine qua non, jakieś wreszcie „jeżeli." Projektowawcy nareszcie zmęczeni tem wszystkiem, widząc iż nie zdołają tym wszystkim wymaganiom zadosyć uczynić, powiadają sobie iż „nec Hercules contra plures," i widzą jasno, że nic nie poradzą. Skutkiem tego, naturalnie dają za wygranę, opuszczają ręce; a projekt przechodzi w dziedzinę wspomnień i pamiątek. Zostaje pogrzebany nazawsze, pozostawiwszy tylko w sercach projektodawców to smutne przekonanie, iż usiłowania ich do niczego nigdy nie doprowadzą.

Do podobnych rezultatów doprowadzają usiłowania ludzi dobrej woli, gdy idzie o urządzenie teatrów amatorskich, odczytów lub koncertów. Kto nie przypatrzył się temu zbliska, nie wejrzał w to życie małomiejskie ten nigdy nie przypuści ile trudów i kłopotów musi przejść ten, co chce iskrę życia z pomiędzy ich mieszkańców wydobyć. Całe towarzystwo to niby ogniwa z rozerwanego na mnogie części łańcucha, które się nigdy z sobą złączyć nie mogą.

Wszelka myśl chociażby najpiękniejsza i najszlachetniejsza, nazawsze prawie myślą tylko pozostać musi, ponieważ w zawiązku samym rozbija się natychmiast, o owe koteryjne kółeczka. Moglibyśmy wymienić miasto, i to miasto jedno z pierwszych po Warszawie, w którem zaświtała zacna myśl urządzenia spółki połączonej pracy kobiecej. Wykonanie tej myśli nie przedstawiało napozór żadnych trudności—wzór znalazł się gotowy, ponieważ w owym czasie zawiązała się podobna spółka w Warszawie. O cóż więc szło? Kobiet pracujących było bardzo wiele—szło tylko o zgodę. Było kilka zebrań. Damy które wysunęły się naprzód przed szereg swoich towarzyszek, które wyrobiły sobie własną pracą pewne stanowiska i byt niezależny, zgromadzały się kilkakrotnie, aby projekt wszechstronnie rozpatrzeć, i krytycznie wartość jego ocenić. Był czas, że o niczem nie mówiono, tylko o tej spółce, i niejedna pracowniczka igły, marzyła już o spodziewanych korzyściach, jak owa mleczarka z bajki Lafontain'a... gdy, niestety projekt się rozbił, ponieważ panie nie mogły się porozumieć na tym punkcie, że stowarzyszenie nie robi się dla pewnego kółka znajomych, dla pewnej koteryjki połączonej z sobą ściślejszym stosunkiem zażyłości—ale dla wszystkich i dla każdego.

A posiedzenia Towarzystw Dobroczynności? kto kiedykolwiek przyjmował w nich udział choćby tylko w charakterze widza, a raczej słuchacza; ten dostrzegł w nich zpewnością wiele humorystycznego, chociaż i smutnego zarazem żywiołu. Piękna myśl, nowy projekt rozszerzający działanie towarzystwa, przynoszący ulgę niedoli, powiększający wreszcie dochód instytucyi — upada, jeżeli projektodawca nie należy do kółka żyjącego w bliższych z większością stosunkach. Tymczasem jakiś niezdarny plan, myśl niedołężna, nic przynosząca w owocach swoich żadnego rezultatu—zostaje przyjętą, gdy ją wnosi na zebranie figura, mająca pewne wpływy i powagę po za salą posiedzeń.

Zdaje się, że nie istnieje ani jedna instytucya, stowarzyszenie, przedsiębierstwo, wydawnictwo wreszcie prowincyonalne, któreby nie miało przynajmniej trzech partyi—jednej pro, drugiej contra, a trzeciej zupełnie obojętnej. Partya która trzyma jaką stronę, nie zdaje

sobie sprawy z pobudek, które ją do tego skłoniły. Dla niej dostateczną pobudką jest to, że druga koteryjka trzyma stronę przeciwną.

To się spotyka na każdym kroku, a rozpatrzywszy się dobrze w małomiejskich stosunkach, pomimowoli przychodzi na myśl starożytny Egipt i kasty. W tych miastach oddzielną kastę stanowią właściciele domów—oddzielną kupcy, oddzielną urzędnicy. A te jeszcze kasty dzielą się na mnóstwo drobnych kółek i kółeczek. A co przytem jest dziwnem i na szczególniejsza zasługującem uwagę, to to że wszyscy razem i każdy z osobna, bez względu na to iż sami do pewnych koteryi należą, użalają się na brak jedności, towarzyskiej spójni i harmonii. Wszyscy jednogłośnie wołają, że tylko na wsi albo w Warszawie żyć można; że małe miasto jest nieznośnem, że się w nim żadna dobra myśl przeprowadzić i wykonać nie da. Lamentacye i jeremiady na ten temat usłyszy każdy, kto przestąpi próg mieszkania swoich małomiejskich znajomych. To jest rozmowa, którą cię zaraz na wstępie uraczą i której musisz wysłuchać. Nie przeszkadza to wszelako zupełnie okazaniu, przez tychże samych państwa, nieprzyjaznych usposobień dla przeciwnego im obozu, dla przeciwnej koteryi.... Uskarżają się, narzekają, czują ile sami tracą na tem odosobnianiu się od ogółu; widzą dobrze, że w takiem położeniu rzeczy sprawy miasto i okolicę obchodzące dobrze iść nie mogą, a sami nie chcą temu zapobiedz.

Koterye to okropna chroba miast małych, to rak, który je toczy i pszeszkadza rozwijać się na drodze porządnie obmyślonego społecznego życia. Dla nich to upadają najpiękniejsze myśli, przez nie giną w zawiązku najlepsze projekty; przepadają i marnieją dobre chęci; bo i rzeczywiście, cóż pomoże choćby i najsilniejsza dobra wola kilku jednostek jeśli ma do zwalczenia, tradycyjną od dzieciństwa prawie wkorzenioną sobkowatość ogółu?

Te właśnie koterye, te kółka i kółeczka to jedna z najbardziej ujemnych stron miast prowincyonalnych—wada z której się przedewszystkiem uleczyć należy.

Gdy przekonanie, iż wobec spraw społecznych różnica stanowisk istnieć nie powinna, że dla dobra ogólnego każdy chętnie rękę powinien przyłożyć, i że w sprawie tegoż dobra każdy winien się uważać za obowiązkowego pracownika,—gdy to przekonanie się ustali i stanie się przekonaniem ogółu; wtenzas nie będzie i koteryi, nie będzie i kółek—każdy dobry pomysł da się przeprowadzić, bo znajdzie chętne poparcie, bo osobistości nie staną na pszeszkodzie. Miasto poruszy się i zacznie krzątać na polu dobrze zrozumianej ide zjednoczenia — a nanie jedno cierpienie ogółu znajdzie się pomoc skuteczna.

Ale kiedyż — bo to nastąpi?

DWIE MYŚLI.

I.

Są, co uderza w nich grom za gromem,
Oczy im więdną od ciągłych łez,
Życie wędrówką po wzgórzu stromem,
A u mogiły męczarń ich kres.

* * *

Jeśli zaś czasem jaśniejszej doli
Błyśnie im promień — jak mara snów,
Pytają: kiedyż serce zaboli...
I czemu gromy nie biją znów?!

II.

Zda mi się: że niebo puste,
Wyschło morze, pękła skała,
Wszystkie gwiazdy wokół zgasły,
Jednym grobem ziemia cała.

* * *

A ja — mego *ja* nagrobek
Niemy stoję pod drzewami,
I wiatr wieje... i deszcz rosi
Wciąż zimnemi na mnie łzami!

Tadeusz Czapelski.

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE

od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

IV. ODA TEODORYKÓWNA.

Już dzieje pierwszej chrześcijańskiej żony Mieszka-Lamberta I-go, nie były wolne od zboczeń; ślubów dopełniła w post, i nadto takowy nieraz złamała; przypadkiem też lub umyślnie dopuściła się niejakiej „pomieszki” obyczajów. Pomijamy już rażący dla nas stosunek Dąbrówki do męża, któremu obyczaj pogański dozwalał siedmiu żon miłością się cieszyć. Pomijamy to, bo przykład współczesnego Krzywoustemu księcia na Pomorzu Wratysława okazuje, że podobne wypadki poligamii częściej miały miejsce wśród Sławian pogańskich i w późniejszej epoce. Nawet w katolickiej już rodzinie Piastów przykłady dwużeństwa spotkamy.

W małżeństwie Ody Teodorykówny, uderza nas świętokradztwo. Była ona bowiem zakonnicą w klasztorze Ś-go Wawrzyńca, w Kalau. Czemu na nią padł wybór Mieszka-Lamberta? W tej mierze można tylko tworzyć domysły, za których wiązadło służą następne fakty. Syn Mieszka z Dąbrówki Bolesław, albo Wielisław, po łacinie Magnusem zwany, w roku 973 został na rękojmią spokojnego zachowania się Kujawian, wydany w ręce Ottona II-go w Kwedlimburgu. Bawiąc od tej pory wśród Niemców, mógł Bolesław zawrzeć liczne stosunki, z których za dostaniem się do tronu po śmierci ojca, nieraz skorzystał. Z tej epoki zapewne prócz przyjaźni z arcybiskupem późniejszym w Magdeburgu Jaginonem, datują i związki z Rykdagiem, margrabią Miśnii, które nawet zamieniły się w ściślejsze i czulsze węzły, gdyż córka Rykdaga została pierwszą żoną Bolesława. Tym sposobem Mieszkowic wszedł w stosunki pokrewieństwa i z dalszą rodziną swej żony, mianowicie z niejakim Dedim, synem Teodoryka, ze słowiańskiej gminy Busici.

Stosunki te niebawem wydały owoc.

Wiemy bowiem, że Dedi'ow poślubił Tiedburgę, rodzoną siostrę Ody, której życie zamierzyliśmy opowiedzieć. W jaki sposób i kiedy małżeństwo to doszło do skutku?—na pewno trudno orzec. Warto jednak przytoczyć, że Dedi na czele hufca rycerstwa czeskiego, najechał miasto Zeitz, wypędził stamtąd biskupa Hugona, złupił domy i kościół, i wreszcie uprowadził swoją matkę która mieszkała w jednym z klasztorów tegoż samego miasta. Stąd oddział najeźdźców podstąpił pod Kalau, kędy wznosił się klasztor zamieszkiwany przez Odę a może i przez Tiedburgę. Dedi, obie w zdobyczy zabrawszy, jedną sam poślubił, drugą z sobą do domu przywiódł. Tu syn Mieszka-Lamberta mógł względem ojca tego samego obowiązku dopełnić, jakim go ślad kronikarski znaczy, o Ottonie synu Bolesława Magnusa 1018. Syn mianowicie mógł ojcu przywieść żonę, a sobie macochę.

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Leon Granicki, syn ludu, a szlachcic duszą, otrzymał rękę pięknej córki prezesa Boińskiego, Ewy... Prezes wahać się musiał wprawdzie na myśl połączenia pierworodnej z exślusarczykiem, który własną pracą i ducha swego siłą doszedł do tak zwanego towarzyskiego stopnia, jednakże prośby córki, rady brata majora przemogły chwilowy upór i kochające serca połączyły się szczęśliwie. Młoda para żyła właśnie słodyczą miodowych miesięcy, patrząc swobodnie w jasne niebo przyszłości. Niebo to jednak wkrótce przysłaniać poczęła mała chmura. Sprowadził ją p. Herkulan Zadrzycki, właściciel pięknej fortunki, a zarazem arbuza, udzielonego z rąk Ewy. Herkulan przy szampanie powziął myśl zemsty. Grzebie więc w przeszłości Leona i wynajduje fakcik, który podany z ust do ust przez plotkarzy, próżniaków i fałszywych purystów, pospolitych sytofagów, podłych tchórzów czyli „nietoperzy“, mógłby zabić Leona w oczach świata i okryć śmiesznością jego małżonkę. Plan staje się czynem. Nietoperze rozwijają skrzydła i dalej szybują po wszystkich kątach, rozgłaszając na ucho, pozornie pod sekretem, że Leon będąc na uniwersytecie w Lieges, został zelżony przez kolegę i nie zażądał satysfakcyi, nie zmył plamy krwią przeciwnika... Puszczona wieść, jak zwykle, przebiega lotem błyskawicy wszystkie kółka i sfery, Leon staje się rzeczywiście skompromitowanym. Prezes, lękający się cienia najmniejszej chociażby obrazy honoru domu, stary stryj, krzepki jeszcze syn Marsa, wreszcie tkliwa Ewa, żądają od Leona wyjaśnienia. Leon z przykrością odsłania tę smutną kartę i wyznaje, że został rzeczywiście zelżony, zadosyćuczynienia jednak nie zażądał, zmiękczony prośbami siwowłosej matki napastnika... Prezes i stryj w obec nieustających pogłosek i przeniesienia tej sprawy aż w kolumny dzienników, nalegają na Leona, aby potwarcę, kolpertera zabójczej fabuły pozwał na plac pojedynku. To się też dzieje. Z wystrzałem, trafiającym Zadrzyckiego dość ciężko, z rozlewem krwi, kończy się oburzenie opinii, nietoperze przypadają do domu prezesa i z najobłudniejszym uśmiechem życzą mu zwycięztwa. Tak więc na końcu lufy pistoletowej zawisł sąd opinii! Opinia odsłania znowu horyzont szczęścia młodym małżonkom i ze czcią ich przyjmuje.

Oto treść oryginalnej, przyznajmy to szczerze, jednej z najoryginalniejszych komedyi p. Edwarda Lubowskiego „Nietoperze“. Prasa wypowiedziała o niej swe zdanie, obsypując autora z małemi wyjątkami hucznym oklaskiem. Oklask ten należy się rzeczywiście Lubowskiemu, za tę barwną komedyą charakterów. Nie wchodząc w szczegóły, musimy przecież nadmienić, iż rzadko o tak doborową galeryą postaci, jak ta, którą p. L. nam odtworzył. Przyjrzeć im się tylko z bliska—to żywe ciało, to ludzie, nasi, dzisiejsi... Ten Babulewicz, dobroduszny plotkarz; Nestrowicz, barometr opinii publicznej, próżniak błagą nadęty, lis szczwany i przemyślny na słabości ludzkie spekulant; ów *quasi* mizantrop Ciernpiewski, Żerowicz, żywa ilustracya swego nazwiska, Żmijski, żyjący z kapitału swej żony, tracący czas cały na odszukiwanie jej w redakcyach i u przyjaciół, wreszcie p. Żmijska, coś z emancypantki, damy kameliowej, z lwicy—a mało z uczciwej kobiety—wszyscy

Zbliżony wielce do takiego przebiegu rzeczy, wypadek zaszedł mało co później w Meklemburgu, czyli u Wielkopolan nadbałtyckich. Billug książe Obstrycki ożeniwszy się z siostrą biskupa oldenburskiego Wagona, miał z niej córkę Stodikę i Mieczysława. Tamtę wuj kazawszy wykształcić w piśmie Ś-tym przez zakonnice, uczynił, lubo lat odpowiednich niemiała, ksienią pewnego klasztoru panien w Meklemburgu. Ten zaś, chrześcijaństwu nieprzychylny, umiał i ojca tak dalece podburzyć, że nie tylko Billug swą żonę, a matkę Stodiki i Mieczysława, ile że chrześcijankę odpędził, ale nadto, zupełnie z nową wiarą zerwał. Mieczysław nie poprzestając na tem „porwał swą siostrę, Bogu poświęconą Stodikę z klasztoru panien z Meklemburga i tę wszetecznym związkiem małżeńskim z niejakim Bolesławem połączył. Inne dziewice, które tamże znalazł, albo za żołnierzy swoich powydawał, albo do ziemi Lutyków i na Rugiją rozesłał".

Z małą różnicą jestto przygoda Ody Teodorykówny. Dodajemy i to, że prócz obciążającej okoliczności, że Mieszko-Lambert pojął Odę „bez pozwolenia kanonicznego", samo porwanie choćby przemocą, i z krwi rozlewem było zwykłym epizodem: ślubów pogańskich. Gallus wyraźnie powiada „Często jesteśmy świadkami, że gdzie jednocześnie poświęcenie kościoła i związku małżeńskiego się odbywa, tam zwykle rozruch i zabójstwo ma miejsce." Mimoto sam cytuje dwa wypadki, w których połączono dwa te obrzędy, i z równie smutnym rezultatem. Jak on opowiada, przy konsekracie rudzkiego kościoła i kogoś zabito, i jeden z księży oszalał, i samym nowozaślubionym na złe to wyszło, bo rok niedożyli.

Nie ulega wątpliwości, że owe mordy brały początek z obecnie tylko obrzędowej, a niegdy prawdziwej walki, jaka wynikała między drużyną pana młodego, a krewnemi panny młodej, o posiadanie tej ostatniej. Dotąd w chwili zabierania panny młodej i odjazdu do siebie państwa młodych, na Pińszczyznie, krewni jej wołają „nie nachodź Litwo, bić się będziemy do ostatka, a panneczki wam nie oddamy". U jednej gałęzi Kaszubów w tej chwili wspominają Niemców. Na Ukrainie gwałt łączący się z wydaniem panny młodej jej przyszłemu, kojarzył się z obrazem „hajdamaki," a symboliczną przedaż kosy panny młodej mężowi, wystawiano sobie jako targ z tatarzynem o dziewczynę. Na Litwie brodaci mężowie (krzyżacy) zdawali się najlepiej oddawać uczucia i wypadki towarzyszące zaślubinom. Mnóstwo tez pieśni o zdobywaniu miast różnych Krakowa, Lwowa, Miru, Kamieńca Podolskiego i t. d. niby historycznych, odnosi się wprost do tego czasu, kiedy napadnięta gmina słowiańska przez swych sąsiadów, okupywała się po części na prawdę, a po części obrzędowo wydaniem dziewcząt najeźdcom za żony. Wzmianki o owych cudzoziemskich, wrogich najeźdzcach, zgoła nie historyczne, są wskazówką, jak te napady przedślubne były straszne. Gdy już w dziejach poznano srogich przeciwników, nieumiano lepiej wyrazić właściwego charakteru odwiecznych tych obrzędów ślubnych, jak ich dopełnianiem dając miano historycznych rabusiów. Sławna w kronice Konnusa powieść o Amazonkach, które Przemysław z ich królową Własta zwycięża i do małżeństwa przymusza, ma dla tej kwestyi u Słowian, znaczenie takiego typowego symbolu, jak głośna w dziejach pierwotnego Rzymu przygoda Sabinek porwanych przez bezżenną jeszcze drużynę Romulusa. U tego też kronikarza znajdujemy charakterystyczne wachanie się Brutysława, narzeczonego Judyty, „czy porwać przemocą bohdankę „czy też ślub przygotować darami za wieniec" na dowód, że dwie te formy zawierania małżeństw istniały obok siebie,

Bądź jak bądź, Oda pojęta gwałtownym sposobem „wzgardziła niebieskim małżonkiem dla ziemskiego," nie bez wielkiego zgorszenia naczelników różnych dyjecezyi, a przedewszystkiem biskupa halberstadzkiego Hilliwarda, do którego jurydyki należała. Atoli „byleby zapewnić bezpieczeństwo ojczyźnie saskiej, i utrwalić potrzebny jej spokój" patrzono na świętokradztwo Mieszka przez szpary, i „do waśni o Odę nieprzyszło" między królem lasko-kujawskim a Niemcami. Owszem „stało się zadatkiem wiecznego przymierza" między niemi, tym zdaje się pożądańszym, że 984 roku w ziemiach połabskich, zerwała się straszna wichura między Słowianami, przeciw jarzmu teutońskiemu, a niemal spółcześnie znalazł się rywal do korony niemieckiej, przypadającej Ottonowi III, w osobie Henryka bawarskiego, którego poparł znany nam Mieczysław Obotrycki, a polski nasz Mieszko-Lambert i Bolesław czeski. Przyszło mimo to do zgody z Ottonem III-cim, i to tak serdecznej że 985 i 986 spólne z Niemcami na Sławian wyprawy czynił Mieszko-Lambert, a 986 r. niezwykłym dla teutonów podarkiem, „wielbłąda" obdarzył nowego króla.

Okazuje się stąd, że Oda niezawiodła nadziei Hilliwarda i skoro ojciec jej margrabia Teodoryk, i wielu innych panów wschodnioniemieckich, między niemi i Ekihard, następca w Misini Rygdaga, zmarłego w 985 r., stanęli po obronie praw Ottona, a Mieszko-Lambert na takowe nastawał, wymogła w końcu Teodorykówna zmianę polityki na mężu. Nie poprzestała na tem Oda. „Za jej sprawą, mówi Dytmar, w ziemiach Mieszka mnożyła się służba boża, a nadto mnóstwo brańców niemieckich do ojczyzny wróciło; jeńców z pęt uwalniała, a przestępcom skruszonym dawała ujść z więzień. To też (spodziewał się kronikarz), musiała być jej wielka zbrodnia przebaczona, „skoro tyle pobożności okazała."

Ogólnik ten niewymienia zupełnie środków, jakiemi Oda szerzyła katolicyzm w Polsce, lubo zważywszy, co się działo za rządów jej pasierba Bolesława-Magnusa, możemy z pewną słusznością wnosić o kierunku usiłowań Ody. Lud, któremu jej obecnie przewodniczyć wypadło, wymagał (wedle Dytmara) tego samego rodzaju kierownictwa jak woły; karcić go było trzeba jak osła leniwego, a bez kaźni surowych, ani myśleć podobna panującemu o swem wśród niego bezpieczeństwie." Dąbrówka post łamała, by sobie zjednać neofitów. Niemusiała Oda w tej mierze wielkiej zmiany dokonać, bo Bolesław na podobnych przestępców musiał surowe kary obmyśleć, i tym, co śmieli po Zielonych Świątkach mięso pożywać, zęby kazał wybijać. Prawo bowiem boże swieżo poczęte w tych krainach, większej siły nabiera przez gwałt taki, aniżeli przez nakaz poszczenia ze strony biskupów." Za to w innej kwestyi działalność Ody daje się wyśledzić, a mianowicie w kwestyi kobiecej. Czytaliśmy, że uwalniała ona przestępców z więzień. Bolesław tymczasem szczególniej na ten gatunek winnych srogim się okazywał, który szczególniej się mnoży w chwilach zmiany położenia społecznego kobiet. Nietylko teraz, ale już owych czasów, ulżenie srogiego jarzma obyczaju na płci słabszej ciążącego, sprowadziło nadużycia, o których reformatorowi ani się śniło, ani też sama zmiana teoryjnie ich niedopuszcza. Za Mieszka-Lamberta bylo obyczajem, że po śmierci małżonka, każda wdowa bywała ścinaną, a trupa jej wraz z włokami zmarłego, na jednym stosie spalono." W połowie ósmego wieku, stawiano na przykład wszetecznemu królowi Anglii Etybaldowi który z wdową po ojcu, swym się ożenił ten zwyczaj palenia żon z mężem nieboszczykiem, jako dowód ich czystości. „Winedowie, pisze apostoł Bonifacy, jakkolwiek są najohydniejszym i najszpetniejszym szczepem ludzi, z taką gorliwością dochowują sobie wzajemnej miłości w małżeństwie, że żona, po śmierci męża swego, żyć niechce, i za najgodniejszą

---

ci przecież to iście bliźni nasi! Wadą komedyi jest może właśnie ta jednorodność żywiołu; jest nią pewne przewleczenie sytuacyi, zacieśnienie przestrzeni na której komedya winna się obracać, i mniej troskliwe opracowanie postaci dodatnich; całość jednak przedstawia się jako dzielna, śmiała, otwarta satyra, nie trącąca konwencyonalnością, lecz świeża—i zabawienna. Komedya nasza tak ubożuchna, zyskuje w p. Lubowskim wytrawnego pracownika, który wsparty doświadczeniem na tem polu zebranem, potęgą talentu przyczynić się może niemało do jej spotężnienia.

W tych dniach wyszło na widok publiczny wspaniałe Album Matejki, wydane nakładem i staraniem Redakcyi Kłosów. Artystycznych przymiotów rzeczonego Albumu dowodzić nie ma potrzeby. Rysunki wykonane przez znakomitego mistrza, są kopiami z jego obrazów—wiele z nich widzieliśmy już w Kłosach lub Tygodniku Ilustrowanym, wiele zaś jest zupełnie nowych. Wycięcie tych rysunków na drzewie, świadczy, jak wysoko stanęło u nas drzeworytnictwo i zaszczyt przynosi drzeworytni Kłosów.

Żyjemy historyą naszą—a jednak dajemy dowody bezprzykładnej obojętności dla pamiątek historycznych, rozrzuconych po całym kraju. Podczas gdy wszystkie narody pamiątkom przeszłości nadają znaczenie relikwii, my obchodzimy się z niemi prawdziwie po wandalsku. Pozwalamy Niemcom i Żydom gruchotać oskardem mury starych zamczysk, jakby ta piędź ziemi, na której one stoją nieodzownie potrzebną była dla naszego wyżywienia i z zimną krwią patrzymy, jak na ich miejscu wznoszą gorzelnie lub browary; pozwalamy zrąbywać Ojcowskich skał lasy, jakbyśmy już nie mogli ogrzać się przy innem drzewie...

Te myśli nasunęła nam wiadomość o mającem nastąpić wkrótce rozrzuceniu murów starego zamku łęczyckiego. Tak mało zabytków tego rodzaju nam się pozostało, iż zdaje się, że nie wielkim kosztem moglibyśmy zachować je od zagłady. Obawiać się należy, by wkrótce wszelkie wiadomości o starożytnej naszej architekturze, nie znalazłszy ani w jednej cegle dowodów jej istnienia, nie były przez potomność policzone do rzędu mytów.

Jedną z najżywotniejszych kwestyi w naszych stosunkach kredytowych, jest zawiązywanie się na prowincyi filii bankowych. Dotąd filii tych było bardzo mało, obecnie słyszymy głosy mające spowodować pomnożenie tych zakładów, których doniosłość rolnicy niejednokrotnie już uznali. Najskuteczniej działają filie Banku Polskiego. Dowiadujemy się, iż w jednem z miast filia zaledwo od roku istniejąca oczyściła okolicę od lichwiarzy, tych pijawek ludu i mniejszych właścicieli. Okazuje się więc gwałtowna potrzeba rozrzucenia sieci tych zakładów po całym kraju i udzielenia ziemianom środka racyonalnego kredytu. Bank Polski czując tę potrzebę i zaradziwszy jej, jak wspomnieliśmy, chwilowo, krząta się około inauguracyi filii w Kielcach, Łomży i Suwałkach. Zdaje nam się, iż mieszkańcy tych miast i postronni obywatele starać się będą gorliwie o przyspieszenie zamiaru. Nie tylko bowiem Bank, którego filie stosunkowo do swej metropolii znaczne wykazują zyski, korzysta na tem, główne dobro spływa, co zbytecznem byłoby wykazywać, dla ogółu emancypującego się dotąd naprózno z pod przewagi krezusów niegardzących stem za sto.

pochwały tę uważają, która własną ręką śmierć sobie zadaje, by na jednym stosie z poślubionym zgorzeć.“

Tem samem, każda wdowa pozostająca przy życiu, mogła być za rządów Mieszka uważana za równie płochą, jak prawdziwa winowajczyni w rzeczy sromu niewieściego, i jako taka musiała ulegać srogiej karze, której opis Dytmar nam podał, a którą z pewną zmianą konieczną ze względu na płci odmianę, Bolesław Magnus, do wydzierców czci kobiecej zastosował. Albowiem u spółczesnych, wolność grzechu w brew prawu boskiemu, które nakazywało w tym razie ukamienowanie i zwyczajom pogańskim palenia wdów z trupem ich męża wszędzie się szerzy.“ Gdyż Oda sprawiła, że trup małżonka, a nawet mężczyzny wogóle samotnie płonął na stosie pogrzebowym. Teraz nietylko wdowa zmarłemu mężowi po śmierci nietowarzyszyła, ale nawet z trupem kawalera niepaliła się dobrowolnie dziewczyna, którą wedle opowieści arabskiego podróżnika, Ibn Foszlana z 922 r. zastępczo przyjaciel zmarłego za żonę pojmował. Nagłe to uwolnienie kobiet z pod prawa, które nawet nieżonatego po śmierci darzyło małżonką, byleby z niewiastą mógł trup jego spłonąć—z jednej strony: wdowom odejmowało środek zasłynienia skromnością małżeńską, i czyniło je, bez ich winy, bezwstydnemi wedle zasad dotychczasowej etyki pogańskiej. Z drugiej strony, znosząc śmierć ogniową pogrobowych małżonek, Oda tego rodzaju małżeństw dorywczych niemogła usunąć, ile że obyczaj wielożeństwa jeszcze niewytępiony, takiej praktyce sprzyjał. Uwalnianie zaś przez nią z więzień winowajców pokutujących zdaje się dowodzić, że przestępcy ci należeli do kategoryi mężów poślubiających wdowy, których poganie karać byli zwykli, i uprzednio więzili, a któremi Teodorykówna przeciwna okrutnemu uśmiercaniu kobiet na stosie zmarłych mężów, jak najsłuszniej się opiekowała.

I tu jednak występowanie Ody jak niegdyś Dąbrówki; apostoła nowej wiary, przeciw etyce pogańskiej, lubo zasadniczo dobre, sprowadziło w rezultacie zamęt i zło, niemal gorsze jak to, któremu miało zapobiedz. Mężczyzni bowiem skorzystali z przełamania niewoli niewieściej... na swą korzyść, i przeciw temu to nadużyciu musiał Bolesław Magnus wystąpić, rozszerzając na mężczyzn bezwstydnych dawne prawo pogańskie przeciw upadkom kobiety wymierzone. Nieumniejsza to jednak zasług które położyła Oda dla Polski starając się podnieść ludność żeńską z jej rzeczowego niecco stanowiska. Nie sądzimy bowiem, by dlatego znosiła palenie się wdów na „stosie męża, że sama się uchronić chciała od tego losu, i umożliwić sobie dawno zamierzone śluby z Dagonem. Wypada nam też należycie ocenić działalność Ody, w rzeczy uwalniania brańców niemieckich. Patrząc się na ten fakt oczyma tamtych wieków, niemożemy go uważać za prosty objaw miłosierdzia chrześciańskiego, jakiem na pozór w powieści Dytmara się przedstawia. Albowiem wówczas chwytanie jeńców miało inny cel, aniżeli go mieć może teraz. Dziś braniec ma znaczenie wojskowe; chwyta go się na polu bitwy, bierze przy zdobyciu twierdzy i każdy w oczach nieprzyjaciela nabiera ceny o tyle, o ile umniejsza odporną lub zaczepną siłę przeciwnika. Słowem, dziś żołnierz w niewolę popada. Wepoce Ody Teodorykówny, i długo później jeniec miał wartość ekonomiczną handlową; nietylko był przedmiotem prawidłowego targu z zagranicą, ale i dla kraju, do którego się dostawał tytułem zaboru, stanowił cenny nabytek. Przynosił bowiem z sobą siły fizyczne do pracy i przyczyniał się do pomnożenia cyfry ogólnej ludności.

Widzimy też, że tak sąsiedzi Polski, jak sami jej naczelnicy byli wielce łakomymi na ten towar ludzki. Za nieobecności rodziny Pastów od 1036 r. „cała prawie Polska przez swoich i obcych z bogactw i ludzi została wyzutą, a gdy w owym czasie Czesi Gniezno i Poznań zniszczyli, ludność pozostała od łupieży najezdników... uszła za Wisłę do Mazowsza, i tak tę prowincyą zaludniła, iż rolnikami niwy, dobytkiem pastwiska, a mieszkańcami bez liku rosły każda siedziba. Czesi ze swej strony, niezapomnieli przy innej łupieży, którą połączyli z zaleceniem porzucenia obyczajów pogańskich—zabierać i ludność polską. Tak Gdeczanie, których opole za Bolesława Magnusa trzystu kiryśników a dwa tysiące tarczowników dostarczało, całą mocą z dobytkiem swym i mieniem uprowadzeni zostali do Czech, kędy im pod własnemi ich prawami i zarządem w posiadanie oddano część lasu Ciernin. I książęta ruscy musieli się dobrze obłowić ludnością polską, zabraną w ówczesnych swych najazdach, bo sześciuset jeńców wrócili Kaźmierzowi Karolowi w posagu za Maryą-Dombrówką (Dobrogniewą), a jeszcze tylu pozostało na Wołyniu na południu rzeki Rosi, że do tej pory różnicą lndu tamtejszego w stroju, obrzędach i układzie ciała, od mieszkańców północnego brzegu owej rzeki, zdradza nadwiślańskie pochodzenie pierwszych.

Za Bolesława Krzywoustego 8 tysięcy jeńców z żonami i dziećmi uprowadzono z okolic Nakła, i rozsiedlono, na pograniczach dalekich Polski, aby zarazem i siebie zbogacić, zdobyte ziemie tym trwalej, ile że osłabione utratą 18000 poległych w boju w zależności od siebie utrzymać. To też w chwili napadu, ludność całemi tłumami zbiegała w zapadłe leśne ostępy i głębokie moczary, tak że trzeba było czekać zimy, aby ścięte lody dosłały drogę po topielach, a nadto wypadało na sposób rozbójniczy, niespodzianie, mieszkańców nachodzić, by łupu na nich dostać. To też często, od Głogowa do Kołobrzega pięć dni bez wytchnienia konno spieszył Krzywousty po żywą zdobycz, a jednak niezawsze mimo pośpiech i trud zażyty celu dopiął.

Gdy na Morawy się raz wyprawił, spędzono bydło, a z nim cała ludność po polach rozproszona, po grodach się pochowała, zwiedziawszy się wprzódy, że „smok ognisty“ „wilczy syn“ jak go zwano, rozpuścił zagony. Inną razą byłby Świętopełk morawski, łup mu odbił, wśród gór go dogoniwszy, gdyby był Krzywousty przodem brańców pod strażą pieszych nie wysłał.

Kiedy koło 1120 r. najechał prowincyą Moriżanów, leżącą w archi dyjecezyi magdeburskiej Nordberta, znaleźli się ludzie, którzy pierzchnąwszy między ływije (porosłe lasem bagna), rybami tylko żywili się, i po siedem lat soli i chleba niezaznali. To też zamiast złota, o sól niby największe dobro, prosił się taki wygnaniec apostoła Ottona bamberskiego.

Od wieków też Słowianie ceniąc wartość człowieka, każdego brańca, do siebie go uprowadziwszy puszczali wolno i spółpracownikiem swym czynili. Z drugiej strony przemyśliwali równie głęboko, aby siebie uchronić od podobnego losu i sami bogacąc się jeńcami, ich doli niepodlegli. Więc swe mieszkania, u rzek i wodozbiorów, a śród lasów budowane, kilku tajemnemi wyjściami opatrywali, by w razie napadu niemieli odciętego odwrotu. Co większa, ścigani uciekali się do podstępów, którychby się niepowstydzili czerwonoskórzy bohaterowie Coopera, Maine Rieda, i wielu innych. Mówimy o sztuce, z jaką wedle cesarza Maurycego, Wendowie już w VI wieku po Chrystusie umieli zatrzeć ślad swej ucieczki, albo też pobytu, gdy wśród wód się znaleźli.

Łącząc śmiałość z cierpliwością iście indyjską, zanurzali się nasi praojcowie na dno rzeki lub jeziora, tak, że fala bez zawady przepływa nad niemi. Co najwyżej, szeleści niewinnie śród sitowia i trzciny, która na wybrzeżach bujnie porasta. Część tej roślinności prawdziwie korzeniami gruntu się trzyma. Część, uciętą u podstaw, tkwi dolną kończyną w ustach Słowian, leżących na dnie wody, i służy im za respiratora, za ciągi powietrzne. Tym sposobem ukryci, mogli jak najzręczniej wywieść w pole najezdnika na ich osobę czyhającego.

W takich warunkach rozwijające się miłosierdzie Ody Teodorykówny dla brańców niemieckich, albo musi być ograniczone do chwili ślubu, przy którym obyczajowo Mieszko-Lambert za wieniec swej narzeczonej mógł uwolnić pewną liczbę jej spółrodaków; albo też należy uważać praktykę dziewiątej żony Semomysłowicza za czyn miły Bogu i Dytmarowi ale nie ówczesnym Polanom, których ubożyła.

„Do śmierci też męża, tylko Oda zażywała czci wielkiej, u Kujawian, znoszona (accepta) przez tych, u których bawiła, a przydatna tym, od których przybyła.“ Nienawiść do niej i jej towarzyszy cztery lat wzbierała po zgonie Mieszka; dopiero 996 r., przy płonących jeszcze może pochodniach hymenu z Dagonem, dościgł ją cios długo wiszący nad jej głową. Nietylko z nowym mężem i dziećmi poszła na wygnanie; ale jeszcze dwadzieścia siedem lat „wzroku pozbawiona,“ wiodła opłakany żywot do r. 1023. Umarła w tem samem Kalau, które dla męża ziemskiego była porzuciła. *(d. c. n.)*

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

LIST II.

Meran.

Mölken nie poskutkowało! Zabieraj się zatem biedny, wieczny tułaczu, który według zdania wszechpotężnej medycyny masz jakiegoś ćwieka w płucach i wędruj dalej na południe, od serwatki do winogron, z Reichenhallu do Meranu. Zresztą przy końcu sierpnia Reichenhall robi się już nie odpowiedniem do kuracyi. Temperatura się obniża a w początkach września nierzadko pokazują się pierwsze śniegi. Nie ma o czem mówić, trzeba zabierać manatki i marsz w drogę. Kraino piwa i brzydkich kobiet bądź zdrowa—mam wstręt do jednego i do drugiego—dodawszy kreitersaft i serwatkę, muszę przyznać że nie miłe robisz wspomnienia i gdyby nie śliczna panna S. oj! o mało nie popełniłem niedyskrecyi..... darujcie czytelnicy, wszak jadę do Meranu a w podróży człowiek nie tak bardzo pilnuje języka. Mam tego najlepszy dowód na moich towarzyszach w wagonie. Jedzie zemną Francuz pan Delateau — który przez dwie stacye zdążył mi już opowiedzieć, że jest siostrzeńcem deputowanego—wnukiem senatora i szwagrem margrabiego—a na trzeciej zabierał się już do wyliczenia mi całego szeregu swoich ofiar. Musiała być lista wcale pokaźna, kiedy samo przedmieście St. Germain zajęło nam z pół godziny. Na szczęście na jakiejś pośre-

dniej stacyi przesiadł się do nas trzeci towarzysz Mortopulos Grek czy Bulgar, bo nigdy od niego napewno dowiedzieć się nie mogłem jakiej był narodowości. Mam słuszne powody mniemania, że sam o tem dobrze nie wiedział. Tres faciunt collegium—dojeżdżając do Rosenhaimu jesteśmy już najlepszymi przyjaciołmi; rozmowa płynie ożywiona i kto wie czyśmy już za inicyatywą Francuza nie poprzysięgli sobie przyjaźni na śmierć i życie. To nawet stawia mnie w dosyć drażliwem położeniu. Delateau umarł w Mentonie, Mortopulos w Meranie (ale dopiero w dwa lata później, z drugim powrotem) wobec tych dwóch śmierci moje sumienie waha się cokolwiek, wziąwszy jednak pod ścisłą uwagę, że samobójstwo jest źle widziane przez prawo ludzkie i boskie—postanowiłem znosić jak dotąd tak i nadal z rezygnacyą śmierć podbójczego Delateau i nieszczęśliwego Mortopulosa i snuć dalej pajęczynę mego żywota ku służbie Waszej Szanowni Czytelnicy, o tyle rozumie się, o ile Was zanadto zanudzać nie będę.

Mówiąc o Mortopulosie użyłem wyrazu nieszczęśliwy. — Rzeczywiście, rzadko do kogo z takiem powodzeniem ten przymiotnik dałby się zastosować. Najprzód mój nowy przyjaciel był bogaty—piękne nieszczęście zawołacie; przepraszam, zaraz przekonam wątpiących jak bogactwo może się stać powodem nieszczęścia w pewnych szczególnych okolicznościach. Ojciec mojego towarzysza podróży, był bardzo bogatym przemysłowcem w Jassach i jak to ma często miejsce w sferach przemysłowców zagranicą, z najmłodszych lat zaręczył swego syna z córką bankiera w Londynie, swojego dawnego wspólnika. Młody Mortopulos doszedłszy do lat popisowych zostaje tedy wyprawiony do Londynu ze sporym zapasem pieniędzy na drogę. Cóż kiedy nieszczęście mieć chciało, że na drodze z Jassów do Londynu, znajduje się Wiedeń i Paryż. Tworzy się komplikacya nader łatwa do przewidzenia. Mój nowy przyjaciel zajeżdża do Londynu, ale w półtora roku dopiero od dnia wyprawienia go z Jassów, ulżywszy wiele ciężaru kieszeni ojcowskiej, ale za to z silnie rozwiniętą chorobą w piersiach. Bankier, rozumie się suchotnikowi, córki odmawia i biedny Mortopulos zawiedziony w nadziei, rozczarowany do życia jedzie w towarzystwie pp. Delateau i Z. szukać zmarnowanego przedwcześnie zdrowia. Nie tu jednak koniec nieszczęść naszego Bulgara czy Greka (zawsze kładę tu nacisk wątpliwości). Mortopulos miał trzy zasadnicze braki, z których każdy wzięty pojedynczo mógłby człowieka unieszczęśliwić. Najprzód patrzył na świat czarno, jak przez atrament — potem stracił smak do jedzenia—po trzecie, wreszcie mówił ośmioma językami tak nędznie, że go zrozumieć było trudno. Skutkiem naturalnym tego ostatniego braku były częste nieporozumienia szczególnej z kelnerami Niemcami — gdyż Mortopulos nieodrodny potomek wrzących Achillesów uczuwał niepociągnioną drażliwość pięści za najmniejszym niewykonanym przez lokaja rozkazem. Prostem następstwem tych wybryków pięściowych były skargi w hotelu a często i procesy w miejscowych sądach pokoju. O jednym z takich rzeczywiście nader komicznym, wspomnę w liście z Mentony. A teraz przechodzę do podróży zaprezentowawszy już pokrótce czytelnikom, zorganizowaną współkę Mortopulos, Delateau i Kazimierz Z. której działania i poglądy w dalszych listach mimowoli pod pióro mi się nasuną.

Mijamy Rosenhaim, sławne podziemiami, w których odbywały się kiedyś Wehmgerichty, tajne sądy średniowieczne; Kufstein, rozgłośną fortecę, bramę Tyrolu i wjeżdżamy do kraju jedynego w Europie, który zachował się od średnich wieków w całej niepokalanej czystości dawnej wiary i zwyczajów, zabobonów a nawet ubiorów. Stolica Tyrolu Insbruk dziś liczy zaledwie 14,000 mieszkańców i żyje wspomnieniami *ostatniego rycerza* Cesarza Maksymiliana I i swego bohatera Andrzeja Hofer. Pierwszy leżał pod głazami tutejszej katedry, drugiego mogiła daleko, ale wdzięczni ziomkowie wystawili mu pomnik w katedrze. Katedra też zamyka dzieje Jnsbruku a nawet całego Tyrolu. Była ona wybudowaną przez Ferdynanda I-go w 1533 do 1563 r. pod wezwaniem Ś-go Krzyża, jest jednak zamałą stosunkowo do pomników jakie mieści. Najprzód przy samem wejściu znajduje się z jednej strony pomnik wzniesiony na cześć Tyrolczyków poległych w obronie ojczyzny w morderczej wojnie od 1796—1809, a z drugiej strony na wysokiem piedestale statua Andrzeja Hofera ze sztandarem w ręku, tak jak braci do boju prowadził i tak jak zginął rozstrzelany przez Francuzów w Modenie (1809 r.) dalej wspaniałe pomniki Maksymiliana I-go, arcyksięcia Ferdynanda i sławnej z urdy żony jego Filipiny Welser.

Pomnik cesarza odznacza się wspaniałemi płaskorzeźbami Collin'a, a jeszcze bardziej kolosalnemi statuami z bronzu takich mistrzów jak Golds, Löffler i Leudenstreich (Jan). Jest w tych statuach dziwny zbiór, bo prawie wszystkich panujących w owych czasach w Europie a nawet i dawniejszych jak Klodoweusza francuskiego.

Gdy się zobaczy miasto przecięte Innem na dwie połowy i relikwie po Hoferze w muzeum miejskiem, można z czystem sercem Insbruk opuścić, bo się już wszystko widziało. Rozumie się, że przez kilka godzin jakie zatrzymaliśmy się w Insbruku, Mortopulos zdążył pokłócić się z zakrystyanem w katedrze o jakiś lapsus linguae co do Hofera,— a Delateau odkrył jakąś dystrybutorkę na Neustadzie, osobę rzadkiej urody i rzadszych jeszcze przymiotów duszy, jak zapewniał, i którą z największym opuszczał żalem.

(*D. c. n.*)

MOZAIZM
według Edgara Quinet'a
przez
EDWARDA CHŁOPICKIEGO.

(Dokończenie).

IV.
Myśl społecznego wyzwolenia w Mozaizmie.

Zaglądając badawczo w ostateczne wyniki starych dogmatów Wschodu, dochodzi się stopniowo do bliższego zetknięcia się z człowiekiem, który pozbawion miana, rodziny i wszelkich na ziemi związków, śród wiecznego osamotnienia, gnie się uklękniony pod ciężarem społecznym, jak kolos kamienny, pod fryzem świątyni. Oniemiały on i głuchy, usunięty bezwzględnie od dziedzin sztuki, poezyi i wszelkiego ludzkiego prawa. Nie człowiek to ani rzecz jakaś. Gdyby wszakże przestał on istnieć: świat starożytny runąć by musiał bo nicość, którą w poganiźmie wszystko się zaczyna i na której wszystko się kończy, jest niezbędną. Niewolnik należy nie do jednej jakiejś miejscowości, a do wszystkich bez wyjątku; służy on za spójnię widomą między Wschodem a Zachodem. Persepolis, Heliopolis, Ateny różnią się między sobą we wszystkiem, a podobne są tylko— z niewoli. Zmieniają się państwa i instytucye, ona jedna tylko pozostaje niezachwianą. Chyże skrzydło czasu przemyka ponad schyloną głową niewolnika, lecz nie zdoła go dosiądz. Pozbawiony udziału w głównych obrzędach wiary, odepchnięty zarówno od Boga jak od ludzi, nie może on ani żyć ani umrzeć przez wieki.

I któż to rzeczywiście zgotował mu los podobny? Montesquieu za główną przyczynę tej tyranii społecznej, uważa obezwładniający fizycznie i moralnie klimat Wschodu, nie pamiętając o tem, że wolność grecka równie jak despotyzm azyatycki, opierała się na niewolnictwie, oraz że niewolnik zarówno we wszystkich czasach zjawiał się na Północy, jak na Południu, jednem słowem wszędzie gdzie człowiek żyć może. Rousseau opierając się razem z prawnikami starożytności na fałszywych etymologicznych wywodach (Servus, Serwatus. Iust.)—niewolnictwo wschodnie przypisuje skutkom wojowniczego życia ludów; wszakże śród tych dowodzeń nie dochodzi on nigdy od faktu do zasady, i nie może wyraźnie określić, w czem się mianowicie zawierała sankcya podobnej nierówności i dla czego w ciągu kilku tysięcy lat, ludzie owi przyjmowali ją bez żadnego widomego oporu, jak w teoryi tak w praktyce. Zdanie to genewskiego filozofa nie różni się wcale od zdania ówczesnych ludów. Burzący wszystko sofizmat, zachował tylko jedne niewolę, i to nas przekonywa, że podobne przywolenie opierało się nie na gwałcie, a na uświęconej wiarą zasadzie. Wyłożymy myśl tę jaśniej.

Politeizm i niewola były zawsze z sobą nierozdzielne. Ludy Wschodu i sami Grecy dopuszczali między ludźmi, daną od natury i opartą na prawie boskiem, nierówność stanów. Rzecz to łatwa bardzo do pojęcia. Podstawą podobnej zasady było niewolnictwo samych bogów. Jeżeli niewola tkwiła jako prawo zasadnicze w dogmacie wiary, jakże mogła ona nie tkwić w prawie ludzkiem. Zajrzyjmy tylko głębiej w niebieskie obszary politeizmu. Cóż tam ujrzymy? Oto podnosząc z kolei od jednej sfery do drugiej, mamy wciąż przed sobą hierarchię boską różnych ras a często i barw różnych, powstałych jedne z drugich za pomocą wiecznie praktykującego się wasalstwa. Na szczycie tej organizacyi stoi Ozyrys i podobny ze swej tyranii do Faraona lub Agamemnona ziemskiego Jowisz; u podnóżka tych pierwszorzędnych władców snuje się całe oligarchiczne rojowisko boskich próżniaków, nieśmiertelnych satrapów, i patrycyuszów—pełniących swą służbę przez łowienie subtelnem powonieniem wonnych kadzideł i wychylanie pełnych czar ambrozyi; z kolei, u stóp bóstw niższych widnieje liczny tłum niebieskiej czeladzi, istnych proletaryuszów Olimpu, trawiących życie na bezowocnej pracy, zdala od jasności dziennej. Czyż nie są najzupełniejszymi niewolnikami: owe Tytany—z łańcuchami na rękach i nogach, sparte tłumnie śród grobowych ciemnic; owi wioślarze niebiescy, ciągnący w złotych łodziach miliardy planet; owe Cyklopy— w dzień i w nocy kujący na warsztacie olbrzymów ogniste strzały słońca i trójząb Neptuna; owa zresztą zgraja Talchinów, Kabirów fenicyjskich—polerujących metale i poprawiających wiecznie świat zestarzały? Czyż nie są skazaną na nieukojone bóle oraz bezpłatny a niewyzwolony nigdy trud, boską gawiedzią: ci wszyscy robotnicy, ukryci we wnętrznościach ziemi, w fałdach obłoków, w jaskiniach mórz bezbrzeżnych; te wszystkie duchy egipskie, z głowami drapieżnych ptaków, dźwigające na swych barkach sklepienia niebios; ten w końcu Prometeusz, jak niewolnik do pługa, do Elbruskiej przykuty skały?

Jeżeli taki był los panów nieba, łatwo po-

jąć, jaki mógł być—mieszkańców ziemi. Widząc, że sami bogowie zagrzebani w pracy bezpłodnej pędzą życie niewolnicze,—podlegli im ludzie, nie mogli nawet marzyć o wolności. Skąd że się mieli spodziewać wyzwolenia, jeżeli się ono wzbraniało istotom nieśmiertelnym. Robotnik nie mógł być mniej wytrzymałym od Cyklopa, wioślarz Nilu—od majtka Ozyrysowego okrętu, pasterz od błądzącego po lasach bez przytułku Fauna. Sama nawet filozofia nie miała nic do poprawienia w instytucyi, która ustając zupełnie lub zmieniając się częściowo, musiałaby obalić cały istniejący dotąd porządek rzeczy. Politeizm i niewola były prawie synonimem; dwie te zasady wytwarzały się z siebie wzajemnie, w wierze i społecznem życiu starożytnego świata. Przyjmując pierwszą, ludzie skazywali siebie na przyjęcie drugiej.

Więc czegoż rzeczywiście potrzeba było dla zaradzenia złemu. Potrzeba było nie przekształcenia, a całkowitego wywrotu starej społeczności. Dla zatarcia śladów niewoli na ziemi, należało ję wpierw zatrzeć w niebie, wyzwalając Boga oraz przyznając mu własność bezwzględnej jedności. To też zaledwieś boskość przedstawił światu w jednej osobie i wyzwoliłeś ją; widziszzaraz, żeś zjednoczył i oswobodził cały rodzaj ludzki. Jeżeli Bóg równym jest wszędzie—samemu sobie: człowiek, utworzony na jego podobieństwo, musi być wszędzie równym drugiemu człowiekowi. Tym sposobem z upadkiem politeizmu, nietylko znika na ziemi zasada kastowości, ale i sama niewola traci konieczność bytu. Może się jeszcze ona ukrywać pod innem mianem i formą, ale podstawa już jej legalna obalona na zawsze. W przybytku niebios błyszczy czarowną aureolą koło świętej rodziny: więc i na ziemi musi się stworzyć rodzina ludów.

Zasada ta w miarę stopniowego politeizmu, zaczęła, jak widzimy za czasów hebrajskich, rodzić na Wschodzie stopniową emancypacyą. Lud uznający dogmat jedności bożej, obalił w teoryi niewolniczość swojej rasy, i nie dłuższy nad lat 6 oznaczył dla hebrajskiego gminu termin poddaństwa. Jeżeli rozkaz ten, powtarzający się stale od czasów Mojżesza w Egzodzie, Deuteronomie i wieszczbach proroczych, nie był literalnie wypełniany,—to jako idealna zasada, istniał on wprawodawstwie hebrajskiem, przez wszystkie czasy. Duch równości pierwej zamieszkał w sercu i zakonie hebrajczyków, nim z powodu odmiennych wpływów całego Wschodu mógł się objawić w praktyce. Gdzież znajdziemy słowa prorocze, bardziej stanowczo obalające starożytnego ducha Wschodu, nad te—jakiemi wielki prawodawca przemówił na górze Synai do wybranego ludu.„ Pamiętaj, żeś dotąd był nikczemnym niewolnikiem, i że przedwieczny, Bóg twój, odkupił cię.“ Ta kiełkująca w Mozaizmie i w powstałem zeń następnie Islamismie idea wolności społecznej, była zorzą poranną swego słonecznego rozwoju w dogmacie wiary Chrystusowej!

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY
według wskazówek Froebla
przez
Bertę Meyer.

ROZDZIAŁ I.
Początek wychowania.

Wiek XVIII słusznie przez filozofów, i ludzi myślących nazwany sentymentalnym i idealnym, ustąpił miejsca wiekowi XIX odznaczającemu się dążnością więcej materyalną. Możnaby nam zarzucić, że odtrącając wszelkiego rodzaju poczyą zagłuszamy w sobie poczucie piękna i więcej niżby należało zwracamy uwagę na potrzeby materyalne, że pielęgnujemy ciało z uszczerbkiem duszy;—to wszystko być może, przyznać jednak potrzeba, że więcej niż kiedykolwiek zastanawiamy się nad ulepszeniem sposobu wychowania dzieci i nad rozprzestrzenieniem pola działalności kobiet. Wszyscy w ogóle mają wiele do zarzucenia teraźniejszemu wychowaniu; mówią dużo o reformach już zrobionych i dopiero projektowanych w tym względzie mało jednak osób dokładnie stara się zbadać przyczynę złego, a potępiając skutki, unikają zarazem podniesienia głosu w sprawie zreformowania i sprostowania przestarzałych idei.

Nieprzyjaciele emancypacyi kobiet, nalegają na to, że płeć nasza, rozprzestrzeniając pole swej pracy zaniedbywać będzie swoje obowiązki jako żony, matki i gospodyni. Przeciwnie, zdaniem naszem jest, że posiadając wyższe ukształcenie, kobiety będą też lepszemi żonami i matkami, a co większa, potrafią same pokierować wychowaniem swych dzieci, na czem młode pokolenie li tylko zyskać może.

Nie o tem jednak w następujących rozdziałach mówić będziemy—zamierzamy zwrócić uwagę szanownych czytelniczek na początkowe wychowanie tych młodych, bezsilnych istot, które od nas otrzymując życie, tem samem nabierają prawa do naszej pieczołowitości.

Otóż, powracając do rzeczy, zwróćmy najprzód uwagę na stary przesąd, na pewnego rodzaju fałszywy wstyd, niepozwalający młodym mężatkom oświadamiać się wcześnie ze sposobem pielęgnowania niemowląt. Matki i starsze krewne, wmawiają w nie, że z czasem same doświadczenia nabiorą, że nie warto jest przed urodzeniem dziecka, myśleć o jego wychowaniu, i t. d.—Jestto wielki błąd, ofiarą którego stają się właśnie te same małe istoty, o których lękano się zawcześnie myśleć, a nawet wpływa to szkodliwie na moralne i fizyczne usposobienie naszych pań którym się, w sposób nieznośny, utrudnia obowiązki macierzyństwa, tak bliskie naszemu sercu, że tem samem powinnyby przestać, być li tylko obowiązkami. „Małe dzieci, są to nieznośne istoty ciągła męczarnia i utrapienia rodziców, powód niecierpliwości, dla domowników i przyjaciół domu, słowem, kiedyś może będzie z nich pociecha, ale dopóki się tego doczeka, trzeba dużo znieść przykrości, wiele przecierpieć!” Rzeczywiście tak było dotychczas, tak i pozostanie nadal, jeżeli się nie otrząśniemy z dawnych przesądów i nie nabędziemy dosyć odwagi cywilnej, aby wprowadzić do wychowania inne zwyczaje zgodniejsze, z postępem cywilizacyi. Przekonano się już, że wychowanie dziecka zacząć się powinno od pierwszych dni jego życia, gdyż wtedy najłatwiej do pożądanego doprowadzić celu. Gdybyśmy chcieli się dobrze zastanowić nad ilością biednych dzieci, padających ofiarą niedoświadczenia rodziców i osób, których pieczy były powierzone, zaiste przyznać byśmy musieli, że procent ich przewyższa, wszystkie sprawozdania statystyczne. A jednak, ileż to ludzi rozumnych i prawdziwie światłych, dotychczas trwa w przekonaniu, że dzieci powinny się same rozwijać, bez wpływu postronnego, ponieważ natura ludzka tyle w sobie zamyka bogatych materyałów, że wychowanie dawane młodemu pokoleniu, tylko je popsuć może....

Zastanówmy się wprzód nim potępiać będziemy.

Zobaczmy czy jest w świecie stworzenie bezsilniejsze i niedołężniejsze niż nowonarodzone dziecię? Żadne zwierzę nie jest tak nieszczęśliwe, tyle starań i opieki nie wymaga, jak niemowlę. Jaka więc jest przyczyna, rozrzewnienia, która widok jego w nas wzbudza? Jestto głos serca, wołający na nas: „nie opuszczajcie małych dziatek hodujcie je z miłością ochraniajcie od złego!”

Dowiedzioną jest rzeczą, że dzieci po większej części umierają w pierwszym roku życia; bądź—to z niedozoru, bądź—też ze zbytniej troskliwości, a najczęściej, nawet prawie zawsze, biedne te istoty, padają ofiarą niedoświadczenia rodzicielskiego.

Miłość stanowi, jeden z pierwszych warunków potrzebnych do pierwotnego wychowania dziecka, rzadko też czuć się mu daje brak tego ciepła duchowego, jednak tak, jak powietrze, samo przez się jest jeszcze niedostatecznym warunkiem do ludzkiego istnienia, tak miłość niepołączona z rozwagą, doświadczeniem i zupełnem pojęciem, tak wielkiego dzieła jakim jest kształcenie przyszłego współpracownika do wielkiej pracy społecznej, jest zbyt słabą do praktycznego i trafnego wychowania.

Patrzmy na dziecko w pierwszych pięciu latach jego istnienia. Czy w dalszym przebiegu swego życia, dozna tylu rozlicznych wrażeń i nauczy się tylu rzeczy, jak w tych pierwszych pięciu latach? Bezwątpienia, ten peryod życia dziecięcia, wywiera wpływ niezmierny na cały jego późniejszy charakter wyciska na jego duszy piętno niczem niezatarte. I jakże, chcecie drogie czytelniczki, wziąść się do tak wielkiego dzieła, bez poprzedniego przygotowania z samym tylko instynktem macierzyńskim?

Jan Paweł Richter, w swoim sławnym utworze: *Lewana* tej tak nazywanej: *ewangelii wychowania*, porównywa pierwszy pięcioletni peryod życia dziecięcego z akademickiem trienium, w czasie którego, wykształca się *ta brama duszy* t. j. mowa.

Tu nauczyciele i rodzice są temi mistycznemi zjawiskami, które podwoje niebios odmykają lub zamykają.

Tu praktyczne wychowanie jest już możliwem; ono jedynie rozwija umysł, i pozostawiając go na stopie bardzo jeszcze niewykształconej naznacza mu zarazem kierunek, niczem w późniejszem życiu zatrzeć się nie dający. Z tych kilku słów widzimy całą możność trafnego postępowania, połączonego z miłością i doświadczeniem. Pierwsze wrażenie zawsze jest silniejsze od późniejszych, dlatego też niańki i bony więcej mają przewagi nad swemi wychowańcami niż metrowie, nauczyciele i guwernantki, i gdybyśmy całe życie człowieka chcieli uważać za jeden kurs wychowania, dostrzeglibyśmy z łatwością, że wpływ niańki, przeważną w nim gra rolę.

W drugiem miejscu Jan Paweł tak się odzywa:

„Człowiek tem więcej przyjmuje w siebie pokarmu duchowego, im mniej go dostawał w życiu ubiegłem!

„Dlatego też, zdaniem naszem w pierwszych latach życia najusilniej nad wykształceniem dziecka pracować należy, gdyż skutki tej pracy najbardziej i najprędzej widzieć się dadzą—dopóki uwaga dziecka nie rozpierzchnięta a zmysły nie rozwinięte nie przeszkodzą, mu długo się zatrzymywać na każdym przedmiocie.

„Pamiętajcie najprzód o moralności!” Człowiek jako istota duchowa, podobnie jak murzyn rodzi się zawsze białym, życie dopiero czerni go.

Dziecko ma zawsze najlepsze, najwznioślejsze popędy: dobroci, miłości, a szczególniej sprawiedliwości. Życie jednak i zgubny wpływ towarzyski, wyziębiają w nas wszystko wzniosłe i najprędzej wyniszczają uczucie sprawie-

dliwości, zastępując tę boską cnotę wadą egoizmu i samolubstwa. Możnaby powiedzieć, że życie duchowe, najprzód bieży, później szybkość tego biegu się zmniejsza, w końcu, staje na pewnym punkcie i z trudnością się dalej porusza.

Dalej Jan Paweł, mówiąc o wrażeniach wieku dziecinnego, tak się do matek odzywa:

„Ochraniajcie dziatki wasze, od wszelkich silnych wrażeń, od wstrząśnień duszy; pamiętajcie, że tak ciałko ich, jak duch, chciwie przyjmują wszystkie wpływy zewnętrzne; otaczajcie je pięknemi przedmiotami; każdy kwiat, pierwsze dźwięki muzyki, pierwsze kolory nawet, które małe dziecię spostrzeże, odbiją się na jego duszy i wpływ wywrą niezatarty, pozostaną mu miłemi na zawsze!"

Dalej:

„Owoców pierwotnego wychowania, nie możecie zebrać zaraz po zasianiu; dziwicie się dlaczego po dokonaniu wszystkiego, coście w tej mierze za potrzebne uznali, tak wiele wam jeszcze do czynienia pozostaje? ale cierpliwości; w parę lat, właśnie w chwili kiedy się tego najmniej spodziewać będziecie wyjdą na jaw, owoce waszej pracy, ujrzycie ziarno zasiane bujnie na dobrym gruncie wschodzące i trud wasz tysiączne przyniesie korzyści."

Kto nie chce wierzyć słowom wielkiego mistrza, niech spojrzy w około siebie, niech w końcu przypomni sobie własne dzieciństwo, a znajdzie odpowiedź.

Porachuj się ze swojem sercem, szanowny czytelniku, zapytaj siebie, czy wady twego dziecka nie są odtworzeniem twych własnych? czy upor i kaprysy niemowlęcia, nie są spowodowane, twoim złym humorem, zgubnem przyzwyczajeniem, zmieniania co chwila wydawanych mu rozkazów. Nieposłuszeństwo twego dziecka jest skutkiem niepraktyczności twego postępowania. Częstokroć zabraniasz mu tego na co jutro z chęcią pozwolisz. Nieposzanowanie starszych krewnych początek swój bierze także w rozmowach twych, z któremi się nie ukrywasz przed dziećmi, słyszą one, jak wyśmiewasz ich wady, wytykasz najmniejsze słabości, skądże więc mogą one nabrać lepszego przekonania o wujach, ciotkach i kuzynkach, jeżeli nie powstrzymując się w ich obecności, kosztem ich się zabawiacie.

W końcu, tchórzliwość i lękanie się dzieci, powstaje z ciągłego ich straszenia, dziadami i cyganami, mającego na celu uspokojenie płaczu i krzyku a w rzeczy samej zgubnie działającego na ich imaginacyą. Nieskończone są przykłady nietrafnego postępowania, sprowadzają one, nieraz najsmutniejsze skutki, niczem w dalszem życiu naprawić się nie dające.

Przejdźmy teraz do rozbioru sposobów praktycznych, mającego na celu poprawę pierwszego wychowania.

Wielu pedagogów pisało o pierwotnem wychowaniu jednak dwom z nich tylko udało się trafić do przekonania publiczności — sprawić pewien rodzaj reakcyi zbawiennie oddziaływającej na wszystkich poświęcających się zawodowi wychowania młodzieży.

Pestalozzi i Fryderyk Froebel są pierwszymi naszymi nauczycielami w tym względzie; Froebel pierwszy, powziął myśl, założenia ogródków dziecinnych tyle się przyczyniających, do rozwijania młodocianego umysłu, do kształcenia ich serca. Dziecko bawiące się w tak nazwanym: „*Kindergarten*" w gronie rówienników, pomimowoli uczy się praktycznie obcowania towarzyskiego, jest grzecznem, miłem, uprzejmem, uczy się dzielić z towarzyszami zabawki iłakocie, nabywa grzeczności i uczynności, cnót tak bardzo w życiu późniejszem potrzebnych.

Froebel, dużo znalazł przeciwników; w Berlinie nawet rząd zabronił otworzenia dziecinnych ogródków uważając takie zgromadzenie jako instytucye podkopujące podstawy przyszłości i groźne nawet dla porządku publicznego! Froebel doznawszy zawodu w swej własnej ojczyźnie, zwrócił się do innych krajów; tez radością przyjęły jego metodę—we Francyi, Anglii i Szwajcaryi nawet w Ameryce, po miastach i wsiach, urządzone ogródki napełniły się dziećmi różnego wieku i stanu, i z zadziwieniem ogólnem spostrzeżono, że właśnie te dzieci, których w domu niczem zabawić nie było można, w gronie rówienników zgodnie i wesoło się bawiły, nie okazując ani cienia nieukontentowania i kaprysów.

W roku 1863, uczennica Froebla, pani von *Marenholz-Bülow* wyprosiła u rządu pruskiego pozwolenie, urządzenia w Berlinie, pierwszego dziecięcego ogródka. Później utworzono zgromadzenie kobiet mające na celu rozpowszechnienie metody Froeblowskiej, i otworzono seminaryum, do kształcenia dziecinnych ogrodniczek dyżurujących w ogródkach, opowiadających dzieciom zajmujące bajeczki i w końcu urządzających rozmaite gry towarzyskie.

Od tego czasu metoda Fryderyka Froebla wszędzie się rozpowszechniła; przed paru laty instytucye te były czysto prywatne, teraz rząd pruski wziął je pod swoję opiekę i wprowadził powyższą metodę, do męskich i żeńskich zakładów naukowych. (*d. c. n.*)

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg).

Zwolna, wszedł po schodach. Na pierwszem piętrze spotkała go służąca jakaś, która chciała go odprawić oświadczając, że państwa nie ma w domu. Starał się dać jej do zrozumienia, że chce mówić z panienką. Chilenka jednak nie zrozumiała go; niezatrzymując się przeto dłużej poszedł dalej, przyczem dziewczyna ze zdumieniem patrzała za nim.

Doszedłszy do drzwi, zatrzymał się przez chwilę; szedł bardzo powoli, pomimo to był bez tchu prawie; nakoniec zapukał, z wewnątrz dało się słyszeć ciche *entra.* Skoro otworzył drzwi spostrzegł Alicyę siedzącą u małego okienka z głową opartą na ręku, z zaczerwienionemi oczyma, które aż nadto zdradzały jej usposobienie. Sądziła że wchodzi ktoś ze służących, bo któżby mógł przyjść inny! Zwolna zwróciła twarz ku drzwiom, poznawszy jednak Jerzego, zerwała się przestraszona.

— Mr Halay—na miłość Boską—zawołała, co *pana* sprowadza do *mnie* i do tego pokoju?

— Wybacz mi pani, Miss Morhouse,—rzekł Jerzy życzliwie, nie używając wszakże poufnego „Alicyo"—parowiec się przybliża, krótki czas jeszcze zabawię w Valparaiso, zanim zaś opuszczę to miasto, miałbym jeszcze z panią do pomówienia o czemś. Ta okoliczność jedynie zmusiła mnie do tak niezwykłego kroku. Użycz mi pani kilku chwil posłuchania.

Alicya nie zdołała wymówić słowa, milcząc wskazała na krzesło stojące u jej łóżka—pokoik był tak ciasny, że zaledwie mógł pomieścić dwie osoby. Jerzy wziął krzesło i postawił kapelusz na łóżku, a potem rzekł z serdecznością:

— Miss Morhouse! Nie gniewaj się pani, żem dokładnie wywiedział się o wszelkie szczegóły dotyczące jej osoby, tak w Valparaiso, jako i w Nowym-Jorku. Spodziewam się też, że pani nie wytłómaczysz sobie tego prostą ciekawością—na to zbyt dawnemi jesteśmy przyjaciółmi—a rodzice nasi także niemi byli oddawna. Wracam teraz do Nowego-Jorku, ale wiem z góry, że matka moja i rodzeństwo byliby w rozpaczy, gdyby się dowiedziano, w jakiem położeniu panią tu opuściłem.

— Mr Halay!—zawołało dziewczę smutno.

— Proszę, pozwól mi pani dokończyć; prosił Jerzy. Co się tyczy mnie samego, nie potrzebuję pani mówić, jak mnie to boli. Byliśmy towarzyszami młodości i znasz mnie pani. W skutek owego dziwnego wypadku wyrwany zostałem na czas pewien ze zwykłego trybu życia mojego i uważałem się za najnieszczęśliwszego człowieka w świecie. Ale niezbadane są drogi Opatrzności. Podczas kiedy my sądzimy nieraz, że jesteśmy prostą igraszką losu, w tej samej chwili szczęście zdaleka już otwiera nam wrota swoje. Właściwie wcale wtedy nie znałem Jenny. Widywałem ją był tylko w salonach, otoczoną blaskiem i uwielbieniem, gdzie starano się wypełniać najlżejsze jej skinienia. Nigdy nie było mi danem zajrzeć w głąb' jej serca, a oczarowany jej wdziękami, nie przeczuwałem, że szatan w niej drzemie. Czem zawinił Mr Hewes, mówił dalej z uśmiechem, że musiał za mnie wychylić ten kielich aż do dna—nie wiem—mam bowiem, Miss to silne przekonanie, że wszelki tak zły, jako i szlachetny postępek już tu na ziemi znajduje karę lub nagrodę swoję. Co do mnie — mnie od tej kolei wstrzymały losy, gdyż, przybywszy tu do obcego kraju, odnalazłem dawnych przyjaciół i błogosławię godzinę, w której niegodziwcy sprzedali mnie za kilka dolarów. Alicya słuchała tych słów z natężoną uwagą, nie rozumiała jednak, co to wszystko ma z nią wspólnego lub w czem jej dotyczeć może. Czy Jerzy przybył do niej, żeby ofiarować jej wsparcie jakie? Wszystko kazało się tego domyślać—a przecież Alicya wolałaby umrzeć wprzódy, aniżeli przyjąć jałmużnę. Jerzy istotnie zdawał się nie wiedzieć, co począć; skubał swoję rękawiczkę i oglądał się z zakłopotaniem.—Nakoniec słabszym głosem przemówił:

— Łaskawa pani, zamierzam właśnie wrócić do domu; ciężko, choć pomimo woli, zmartwiłem mych rodziców—chciałbym im zgotować wielką radość za to. Pomóż mi pani w tym wzlędzie.

— Ja?—alež jak?—rzekła Alicya ze zdziwieniem, spoglądając na niego.

— Wiesz pani — rzekł Jerzy z uśmiechem, kiedyśmy jeszcze byli malcami, a chcieliśmy co od siebie, żądaliśmy zawsze z góry przyrzeczenia co do spełnienia prośby.

— Ale nie jesteśmy już dziećmi, Mr. Halay, rzekła Alicya, życzliwie wprawdzie, lecz z pewnym rodzajem obawy—i przeto nigdybym nie dała przyrzeczenia zbyt pośpiesznego.

— Masz pani racyą!—zawołał Jerzy, nagle zrywając się z krzesła, ja sam tylko jestem jeszcze dzieckiem i to dosyć dużem. — Miss Alicyo Morhouse!—wychowaliśmy się razem i kochali zawsze; dopiero, jakeśmy dorośli, widywaliśmy się rzadziej i stali bardziej oddaleni—nigdy jednak nie byliśmy obcy dla siebie. Ja sam obracałem się w innych kołach i zapomniałem o towarzyszce lat dziecinnych. Policz mi pani za karę, ciężką dolę przebytą, Alicyo—zapomnij pani o tem, co się stało i—zostań moją żoną.

— Mr. Halay!—zawołała Alicya zbladłszy,

nieprzypuszczam, abyś pan był zdolny żartować ze mnie.

— Na Boga, nie żartuję, dziewczyno!—zawołał młodzieniec wśród najwyższego uniesienia chwytając i ściskając jej rękę. Choćbyś mnie odepchnęła, nie zostawię cię tu wśród cierpienia — inaczej postąpić mi nie wolno; gdyby nawet serce moje nie wyrywało się do ciebie, musiałbym to uczynić dla swoich. Ale, nie odpychaj mnie pani. Alicyo! — dodał głosem błagalnym, mam nadzieję — chcę uszczęśliwić panią, zastąpić ci rodziców straconych. Nie masz-że pani choć odrobinki życzliwości dla mnie? Czy wierzysz mi pani i ufasz, że spełnię to, com przyrzekł?

Alicya chciała coś mówić — ale nie była w stanie. Przejście od najwyższej nędzy do szczęścia najwyższego było zbyt szybkiem i gwałtownem, by mogła pozostać spokojną. Zakrywszy twarz rękoma padła na krzesło, a łzy gorące, które się teraz strumieniem polały, przyniosły ściśnionemu jej sercu pociechę. Jerzy zbliżył się do niej i rzekł znów uśmiechając się:

— Powiedz mi pani tylko jedno słowo, Alicyo—wszakże nie chciałem zmartwić pani. Jak prostem były słowa moje, tak prostą jest myśl moja. Będę ci przez całe życiem oje wiernym i uczciwym mężem i nigdy nie pożałujesz kroku swojego.—Chcesz-li być moją? Parowiec, co w tej chwili wpływa do zatoki, poniesie nas do ojczyzny, gdzie w gronie rodziny mojej zapomnisz o wszystkich nieszczęściach przebytych, gdzie przyjmą cię otwartemi ramiony. O, proszę, Alicyo—jedno słowo tylko—czyliż pani nie kochasz mnie wcale?

W tej chwili jednak i Alicya nie mogła dłużej być panią siebie. Oparła głowę na piersi nachylonego ku niej młodzieńca i śmiejąc się wśród łez wyszeptała cicho:

— O, z całego serca, z całego serca — kocham zawsze.

Podczas tych słów, Jerzy objął wysmukłą jej kibić i gorący pocałunek wycisnął na jej czole.

Oboje tak byli zajęci sobą, iż nie dosłyszeli wcale, jak z cicha i ostrożnie otworzono drzwi za niemi. Dama w stroju amazonki stanęła na progu i rzekła zimno i z przekąsem:

— Zajęcie godne pana Halay — romans z pokojówką; przecież nie zadajesz pan kłamstwa swojemu charakterowi. Ale, Miss, proszę!...

— Nie mów pani więcej! — zawołał Jerzy, wstając dumnie: — Miss Morhouse jest moją narzeczoną i dziś jeszcze opuści dom pani.

— Pańską *narzeczoną?* — zawołała Jenny z nieudanem zdziwieniem — i to w ciągu kilku godzin niespełna?

— Była ona, jakby dzieckiem rodzonem w domu moich rodziców, — zimno odpowiedział Jerzy, silnie i opiekuńczo obejmując Alicyą, która zerwała się była prędko i z przerażeniem — a sam Bóg mnie tu sprowadził, by ją z tak smutnego wybawić położenia. Alicyo, serce moje, zbierz swoje rzeczy. Nie pozostaniesz w tej izdebce, ani godziny dłużej, zaprowadzę cię do pewnej zacnej rodziny, gdzie znajdziesz schronienie do chwili szczęśliwego połączenia naszego.

Jenny zbladła jak trup i podobna do statui marmurowej nieporuszona stała we drzwiach. Ale to trwało niedługo. — Ów wyraz ironii złośliwej, który Jerzy był dostrzegł za pierwszem spotkaniem z nią w tym domu, znów pokazał się na jej ustach. Z lodowatą obojętnością rzekła:

— Nie myślę zatrzymywać panny Alicyi — albo raczej nie chcę być na przeszkodzie jej— szczęściu — chciała jeszcze coś więcej powiedzieć, ale nie mogła. Sądziła się silniejszą, aniżeli była w istocie. Nienawiść, gniew, wstyd, i boleść — naprzemian wstrząsały jej sercem. Słowa uwięzły jej w gardle. Szybko się odwróciwszy, pobiegła do swego pokoju i zamknęła się na klucz.

Jerzy także nie chciał dłuższym pobytem swoim na poddaszu, narażać Alicyi na nowe nieprzyjemności.

— Teraz jesteś moją żoną, Alicyo, — rzekł głosem pełnym serdeczności, biorąc ją w swe objęcia i po raz pierwszy całując ją w usta — silnie złączeni przetrwamy życie całe. Ale w tym domu dłużej pozostać ci nie wolno; dlatego zbierz rzeczy swoje, duszo jedyna, i czekaj na mnie za godzinę mniej więcej.

— Jerzy! — zawołała Alicya i objęła go ramiony — mój Jerzy! — marzenie to, czy prawda i rzeczywistość?

— To prawda i rzeczywistość, życie moje— zawołał Jerzy, a to właśnie cośmy oboje uważali za największą niedolę dla siebie, prowadzi nas do najwyższego szczęścia. A teraz do widzenia, duszo moja, mamy oboje niezmiernie wiele do roboty, — ale całe życie szczęścia i miłości przed nami. Bóg z tobą — za godzinę znów będę przy tobie.

XII. W spokoju.

Jerzy schodził po schodach z sercem tak lekkiem i wesołem, że byłby głośno zaśpiewał z radości. Trochę tylko był w kłopocie z powodu owej „zacnej rodziny,“ o której był wspomniał, że umieści swą narzeczoną. Oprócz Burtona, nie znał ani żywej duszy w mieście całem, w Burtonie też całą pokładał nadzieję. Wszystko mu było jedno, czy mieszkanie znajdzie się u Niemca, czy u Amerykanina — byle tylko wydostać Alicyą z pod panowania młodej Megery, która, jego zdaniem, była teraz zdolną do wszystkiego.

Kiedy stanął na ostatnim stopniu, widział jak nawpół uchylono drzwi kantoru i wyjrzał z nich ostrożnie Burton. Spostrzegłszy Jerzego wyszedł.

— Do pioruna, Jerzy! — zawołał — byłem niespokojny o ciebie — sennora wróciła prędzej, jak można było przypuszczać — koń jej musiał sobie zetrzeć nogę w stajni jeszcze, bo już kulał, gdy wyjeżdżała — wszak jej nie spotkałeś?

— I owszem, Dick, — zaśmiał się Jerzy — i to w niezwykłej sytuacyi — ale o tem potem. Pójdź, potrzebuję objaśnienia w pewnym względzie. To mówiąc razem z Burtonem wszedł do kantoru i trzymając jeszcze klamkę w ręku, mówił dalej:

— Czy nie mógłbyś mi wskazać pewnej przyzwoitej, o ile można, amerykańskiej rodziny, u której mógłbym umieścić na dni kilka młodą kobietę?

— Młodą kobietę? — Miss Morhouse?

— Tak jest — tylko do odejścia parowca.

— Chce wrócić do New-Jorku?—rzekł Burton zdziwiony — nie rozumiem tego.

— Tego nie rozumiesz? — odpowiedział Jerzy poważnie. Nie chcesz przecie, abym zostawiał tu żonę w Valparaiso, a sam wracał do domu?

Burton nic nie odpowiedział. Szeroko roztworzył oczy, jakby mu się zdarzyło coś niesłychanego.

— Twoję żonę?—rzekł w końcu. — Twoję żonę? — człowieku, przecie...

— Nie prosiłeś o rękę Alicyi i nie otrzymałeś jej zgody? — Przeciwnie.

Burton uchylił drzwi i ostrożnie wyjrzał na schody i ku górze, przekonawszy się zaś, że tam nie ma nikogo, znów je zamknął na klucz, pochwycił linję z biurka i rozpoczął dziki taniec po kantorze, przyśpiewując „Hau! Hau!“ i podrzucając linją, jakby laską tamburmażorską. Nagle wśród pląsów przerwał przedstawienie, jak strzała popędził do biurka i wziął pióro. — Usłyszał był kroki tuż pode drzwiami, nie chciał więc, aby go konsul zeszedł ne zatrudnieniu tego rodzaju. Po chwili jednak znów było cicho, widać przedtem przechodził ktoś ze służących. Dlatego Burton, wytańczywszy się do woli, zbliżył się do Jerzego, a ujmując go za rękę i z całych sił nią potrząsając, zawołał:

— Jerzy, stary chłopcze, toś dzielnie postąpił, to był krok prawdziwie dobry, ale i prawdziwie rozsądny. Dostajesz przecudną żoneczkę, której się nigdy nie powstydzisz — ale i biedna Alicya ocalona — lecz do stu piorunów — czy *ona* zastała cię tam?

— Tak?

— I co mówiła?

— Sam nie wiem tego; — rzekł Jerzy z uśmiechem — tak byłem szczęśliwy w tej chwili. Zdaje mi się że mówiła coś „o nieprzeszkadzaniu mojemu szczęściu“ i wyszła natychmiast. Ale — com wprzódy powiedział — oświadczyłem jej, że dziś jeszcze zawiozę Alicyą do pewnej rodziny, a nie wiem żadnej — zupełnie, wszak obcy jestem w tem mieście.

— To najmniejsza — zawołał Burton z żywością — może o sześć domów stąd, mieszka buchhalter tutejszy, Amerykanin z młodą żoną swoją. — Dotychczas także mieszkała u nich młoda jedna dama, która ośm dni temu przyjęła miejsce w Constitucion. Pokój ten teraz jest wolny. Dam ci kilka słów do żony, mąż jeszcze jest w kantorze, a wkrótce ze wszystkiem się załatwisz.

— Dziękuję ci serdecznie, Dik, — rzekł Jerzy, podczas gdy Burton pisał już bilecik — gdybym ci tylko mógł odsłużyć kiedy.

— W podobny sposób kto wie, czy ci się uda—powiedział Burton z uśmiechem — bo o to sam się tu po hiszpańsku postarać muszę— ale może w innym rodzaju. Oto jest list — a teraz idź i ułóż wszystko. Słyszysz — właśnie słychać wystrzał z parowca. Muszę sam pójść nad brzeg i odebrać nadeszłe depesze.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Nowy dramat Wiktoryna Sardou p. t. **„La haine“** nieustannie ściąga tłumy widzów do teatru Gaité. Utalentowany bawiciel francuzów krwawym dramatem, potrafił wywołać prawdziwy entuzyazm paryskiej publiczności, coraz mniej hołdującej ideałowi, a uganiającej się za efektami. Napakował tedy efektów co niemiara. Pyrotechnika z mechaniką, objęły główne role, reszty dopełniają sztylety, kładące w każdym akcie trupów dostatek. Krytyka wymienia jednak kilka scen nakreślonych z siłą i prawdziwym talentem, godnemi lepszej sprawy.

W tych dniach **Wiedeńskie meklerskie stowarzyszenie**, likwidowało swoje długi. Za akcye których wartość nominalna 100 guldanów wynosiła, a które w początku jeszcze roku zeszłego, kupowano po 300 złr., —dzisiaj zapłacono akcyonaryuszom po... 80 krajcarów!

Krakowskie towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, jako premium za rok 1874, przygotowało dla swych członków, sztych przed kilkudziesięciu laty wykonany w Anglii, wyobrażający Tadeusza Kościuszkę. Wysoka artystyczna wartość tego sztychu, usprawiedliwia reprodukowanie go obecnie.

August Bielewski, historyk, w roku bieżącym obchodzić będzie 50-cio letni jubileusz zawodu literackiego.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**